Milionowy banknot

28 września 2022

Mając dwadzieścia siedem lat, byłem urzędnikiem w kopalni złota w San Francisco i doskonale opanowywałem wszystkie interesy. Samotny byłem na świecie i tylko na sobie samym polegać mogłem, a przyszłość moja dobrze się zapowiadała, czułem się więc zupełnie zadowolonym.

W sobotę miałem zwykle wolne popołudnie i spędzałem je zazwyczaj na łódce żaglowej, którą w porcie wynajmowałem. Pewnego dnia puściłem się na cokolwiek dalszą wycieczkę, i wiatr przeciwny zapędził mnie na pełne morze. O zmroku, kiedy już nadzieję ocalenia prawie zupełnie straciłem, wyratował mnie okręt płynący do Londynu. Długa to była i burzliwa podróż, a musiałem odsłużyć za swój przejazd, spełniając obowiązki prostego majtka. Kiedy wylądowałem w Londynie, ubranie moje było w łachmanach, a cały mój majątek składał się z jednego dolara. Żyłem z niego przez dwadzieścia cztery godziny, następną zaś dobę spędziłem bez jedzenia i bez dachu nad głową.

Około dziesiątej następnego ranka, wlokłem się głodny i niewyspany wzdłuż Portland Place. W tej chwili przeszło koło mnie dziecko ze swą niańką i rzuciło pyszną, zaledwie nadgryzioną gruszkę do rynsztoka. Naturalnie przystanąłem, z tęsknotą spoglądając na ten zabłocony skarb. Ślinka mi szła do ust na widok tej gruszki, żołądek mój o nią prosił, całe moje jestestwo dopominało się o nią. Ale każdą razą, gdy miałem się po nią schylić, jakiś przechodzeń zdawał się odgadywać mój zamiar, i oczywiście prostowałem się, udając zupełną obojętność. Trwało to tak długo, że doprowadzony do rozpaczy, miałem ją już podnieść wbrew wszystkiemu, gdy nagle otworzyło się okno obok, i jakiś pan się przezeń odezwał:

– Proszę no tu wejść na chwilkę.

Wyelegantowany lokaj otworzył bramę i wprowadził mię do wspaniałego pokoju, w którym siedziało dwóch niemłodych panów, kończących właśnie śniadanie. Na widok jadła, ogromne wzruszenie mną ogarnęło, ale, że nie zaproszono mnie do stołu, musiałem się opanować.

Na chwilę przed moim przybyciem, zaszło podobno między tymi dwoma braćmi małe nieporozumienie, które postanowili rozstrzygnąć na angielski sposób, to znaczy, za pomocą zakładu. Dowiedziałem się o tym później dopiero, ale mogę od razu opowiedzieć, o co chodziło.

Może przypomina sobie kto, że angielski bank wydał raz dwa banknoty, każdy z nich na milion funtów. Potrzebne one były do jakiejś transakcji zagranicznej.

Otóż tak się jakoś złożyło, iż jeden z nich tylko został użytym i skasowanym, drugi zaś zachowano w skarbcu bankowym. Rozmawiając o tym, braciom przyszło na myśl, coby też zrobił uczciwy i inteligentny człowiek, który by znalazł się w Londynie z tym banknotem w ręku, ale bez żadnych innych pieniędzy. Brat A. utrzymywał, że umarłby z głodu; brat B. zaś twierdził, że nie. Brat A. mówił, że nie mógłby banknotu zmienić w żadnym banku, bo zaraz by go zaaresztowali, brat B. odpowiedział, że gotów założyć się o dwadzieścia tysięcy funtów, iż człowiek ten mógłby w każdym razie przez miesiąc się utrzymać z tego miliona, nie dostawszy się przy tym do więzienia. Zakład stanął. Brat B. pojechał do banku i kupił ów banknot. Czysto po angielsku, jak widzicie. Następnie podyktował list jednemu ze swych urzędników i usiadł z bratem w oknie, aby wypatrzeć stosowne do eksperymentu indywiduum.

Widzieli oni dużo uczciwych twarzy, którym brakło jednak inteligencji; widzieli też i takie, w których oba te przymioty się łączyły, ale właściciele ich nie dość byli ubodzy. Każdemu coś brakowało, aż ja się zjawiłem. Mnie jednogłośnie uznali za doskonałość i zostałem wezwany. Zadawszy mi kilka pytań, wkrótce już wiedzieli całą moją historię. Wówczas jeden z nich

dał mi kopertę i powiedział, że wytłumaczenie całej sprawy w niej znajdę. Chciałem ją naturalnie zaraz otworzyć, ale kazali mi wstrzymać się, aż będę w domu i nie postępować nierozumnie.

Pożegnałem ich więc i wyszedłem, chociaż dotknięty się czułem tym, co uważałem wówczas za kpiny i żart niemądry.

Teraz byłbym podniósł gruszkę i zjadł ją bez namysłu, ale już jej nie było. Straciłem ją przez tę niefortunną wizytę, co oczywiście żalu mego do tych ludzi nie ułagodziło. Jak tylko odszedłem dość daleko od ich domu, otworzyłem kopertę i zobaczyłem, że zawiera ona pieniądze. Uczucia moje natychmiastowej uległy zmianie.

Wpakowałem list i banknot czym prędzej do kieszeni i wpadłem do najbliższej restauracji. Oto jadłem! Dawno nie miałem takiego apetytu. Gdy go nareszcie zaspokoiłem, wyjąłem pieniądze, rozłożyłem je, spojrzałem i omal nie zemdlałem. Milion funtów – pięć milionów dolarów! W głowie mi się zakręciło.

Musiałem tak siedzieć osłupiały dobrych parę minut.

Kiedy przyszedłem do siebie, spostrzegłem właściciela restauracji wpatrzonego z najwyższą czcią i nabożeństwem w mój banknot. Tak był widokiem tym sparaliżowany, że nie mógł ruszyć ani nogą. Uczyniłem więc jedyną rozsądną rzecz, jaką zrobić mogłem i od niechcenia podsuwając mu mój milion, rzekłem niedbale:

– Proszę mi wydać resztę.

To przywróciło go do normalnego stanu. Przepraszał tysiąckrotnie, że zmienić tyle pieniędzy nie może i nie chciał nawet dotknąć. Patrzył w nie tylko jak w tęczę, jakby nie mógł nasycić się ich widokiem. Ja zaś powtórzyłem:

– Przykro mi bardzo, jeśli narażam pana na jaki trud, ale muszę obstawać przy tym, abyś mi pan resztę z tego wydał, bo

nie mam drobnych przy sobie.

Odpowiedział, że to nic nie szkodzi, że chętnie na zapłatę poczeka i że otwiera mi kredyt, jaki tylko zechcę i na tak długo, jak mi się podoba. Zapewnił mię, iż nie obawia się bynajmniej zaufać bogatemu człowiekowi, który lubi żarty stroić z publiczności, przebierając się za nędzarza. Poradził mi tylko schować pieniądze, aby ich kto niepowołany nie dojrzał. Nisko się kłaniając, odprowadził mię aż do drzwi i puściłem się w drogę ku domowi owych panów, aby zwrócić im banknot, który moim zdaniem przez pomyłkę dostać się musiał w moje ręce. Byłem rozstrojony i zaniepokojony, ale gdy zbliżyłem się do bramy, nerwy moje uspokoiły się cokolwiek, bo najmniejszego hałasu słychać nie było. Najwidoczniej nie spostrzegli jeszcze omyłki. Zadzwoniłem i ten sam lokaj mi otworzył. Powiedziałem, że mam interes do ich panów.

— Niema ich w domu — odparł wyniosłym tonem sługusów tego rodzaju.

— Niema? A gdzież są?

— Wyjechali.

— Dokąd?

— Na kontynent, prawdopodobnie.

— Na kontynent? A którędy?

— Nie wiem, panie.

— A kiedy wrócą?

— Za miesiąc podobno.

— Za miesiąc! Ależ to okropne! Proszę mi przynajmniej powiedzieć mniej więcej, dokąd udać się mogli? Chodzi tu o rzecz najwyższej wagi.

— Nie mogę, panie. Nie mam najmniejszego pojęcia dokąd

pojechali.

– W takim razie muszę zobaczyć kogoś z ich rodziny.

– I tej niema w domu. Od kilku miesięcy już niema nikogo w domu. Muszą być gdzieś w Indiach, albo w Egipcie.

– Ależ człowieku, mówię ci, że stała się straszna pomyłka. Oni dziś jeszcze wrócą. Powiedz-że im, że byłem tu i że przychodzić będę, aż się rzecz wyjaśni. Nie mają czego się obawiać.

– Mogę im to powiedzieć, ale nie wierzę w ich powrót. Oni mi mówili, że pan tu przyjdziesz za godzinę i że będziesz o nich pytać, ale kazali mi powiedzieć, że wszystko w porządku i oczekiwać pana będą we właściwym czasie.

Musiałem więc dać za wygrane i odejść. Cóż to za głupia zagadka! Bliski byłem utraty zmysłów. „We właściwym czasie!” Co to mogło znaczyć? Przypomniałem sobie list. Może w nim znajdę wyjaśnienie? Wyjąłem go z kieszeni i odczytałem co następuje: „Jesteś pan inteligentnym i uczciwym człowiekiem, widać to z pańskiej twarzy. Przypuszczamy też, że musisz pan być obcym tutaj i ubogim. W liście tym znajdziesz pan pieniądze. Pożyczam je panu bez procentu na dni trzydzieści. Po upływie tego czasu masz pan stawić się w naszym domu. Założyłem się o pewną rzecz, dotyczącą pana. Jeśli wygram, dostaniesz pan u mnie miejsce, jakie tylko zechcesz, choćby najlepsze, bylebyś obowiązki przywiązane doń wypełnić potrafił”.

Ani adresu, ani podpisu, ani daty.

Ot tobie i robota! Wy już wiecie, z czego wynikła cała sprawa, ale ja wówczas nie wiedziałem nic. Była to dla mnie ciemna, nie do rozwiązania zagadka. Nie miałem pojęcia o co chodziło. Poszedłem do parku, usiadłem na ławce i zacząłem rozmyślać, jakby z tego wybrnąć.

Po godzinie myśli moje skrystalizowały się, jak następuje:

Może być, że ci ludzie mi są życzliwi, ale może być także, że źle są dla mnie usposobieni. Tego odgadnąć nie mogę, więc mniejsza o to. Zrobili jakiś zakład, czy też eksperyment, którego również domyśleć się nie mogę. Po raz wtóry więc – mniejsza o to. Reszta sprawy zatem może być traktowana na pewne. Jeśli oddam banknot do banku, aby go złożyli na imię właściciela, zrobią to niezawodnie, bo z pewnością go znają. Ale spytają mnie, jakim sposobem dostał się do moich rąk, a jak im prawdę powiem, zamkną mnie do domu wariatów. Jeśli zaś skłamię, dostanę się do więzienia.

Gdybym próbował banknot zmienić lub zastawić, rezultat byłby ten sam.

Muszę więc nosić go z sobą, aż właściciele jego wrócą. Jest on mi na nic, tyle mi po nim, co po garści popiołu, a pomimo to muszę go niańczyć i pilnować, a przez ten czas żyć z żebraniny. Żebym nawet chciał się go pozbyć, to nie mogę, bo nie przyjmie go ani uczciwy człowiek, ani złodziej. Tak, bracia ci bezpieczni są najzupełniej, bo nawet gdybym go zgubił, to bank po prostu go skasuje, straty więc żadnej ponieść nie mogą. Ja zaś tymczasem muszę cały miesiąc w nędzy przebyć, bez żadnej korzyści – chyba że pomogę w jakiś, nieznany mi sposób, do wygrania owego zakładu i dostanę obiecane mi miejsce. Tego pragnąłbym bardzo. Ludzie tego rodzaju, co ci bracia, muszą mieć w biurach swych miejsca, które dostać warto.

Tu zacząłem rozmyślać o tym miejscu i nadzieja we mnie trochę odżyła. Gaża będzie niezawodnie wysoką a dostanę ją za miesiąc; wszystko wtedy będzie dobrze.

Wkrótce odzyskałem równowagę umysłu i puściłem się w dalszą drogę. Przechodząc koło krawca, uczułem ogromną tęsknotę do przyzwoitego ubrania. Czy mogę go sobie sprawić? Nie, mam tylko milion funtów przy sobie. Poszedłem więc dalej, ale

pokusa była silna i wkrótce wróciłem więc i uległem jej. Spytałem, czy nie mają jakiego odrzuconego garnituru. Subiekt wskazał na innego, i nic mi nie odpowiedział. Podszedłem do tegoż, a ten głową wskazał mi trzeciego, nie mówiąc ani słowa. Zwróciłem się więc do trzeciego i ten mi odrzekł:

— Za chwilę.

Czekałem cierpliwie, aż zajęcie swe skończy, po czym zaprowadził mię do tylnego pokoiku, przerzucił stos odrzuconych ubrań i wybrał dla mnie najgorsze. Nie było ładne, a leżało na mnie bardzo źle, ale było nowe i czyste. Nie grymasiłem więc, tylko nieśmiało rzekłem:

— Jeśli to panu różnicy nie zrobi, to prosiłbym o kilka dni kredytu; nie mam bowiem drobnych przy sobie.

Subiekt sarkastycznie na mnie spojrzał i odparł pogardliwym tonem:

— Doprawdy, nie masz pan drobnych? Spodziewałem się tego; ludzie tego pokroju, co pan, zwykle noszą tylko grube pieniądze z sobą.

Byłem dotknięty, powiedziałem mu więc na to:

— Mój przyjacielu, nie powinieneś nigdy sądzić nikogo z pozorów. Za to ubranie z łatwością zapłacić mogę; nie chciałem cię tylko narażać na trud zmienienia większej sumy.

— Nie chciałem pana obrazić — rzekł grzeczniejszym już trochę tonem — ale nie widzę racji, dla której byś pan miał myśleć, że nie możemy zmienić większej sumy. Przeciwnie, możemy.

— Och! w takim razie i owszem.

I podałem mu mój banknot.

Wziął go z uśmiechem, ale spojrzawszy nań, skamieniał, zżółkł, i stanął osłupiały, aż przybiegł właściciel sklepu, wołając:

— No, o cóż to chodzi? Czy brakuje komu czego?

— Nic nie brakuje — odparłem. — Czekam tylko na resztę.

— No, to przynieś że panu resztę. Tod, prędzej!

— Łatwo to powiedzieć, panie. Ale spójrz no pan sam na ten banknot.

Właściciel spojrzał, świsnął długo i przeciągle, i zaczął przewracać stos ubrań na prawo i na lewo, cały czas z podnieceniem mówiąc, jak by sam do siebie:

— Ekscentrycznemu milionerowi sprzedał takie ubranie! A to dureń ten Tod! Dureń z urodzenia. Zawsze robi mi takie rzeczy. Odstrasza milionerów od mego sklepu, bo nigdy nie umie odróżnić milionera od włóczęgi. I nigdy nie umiał. Ach! tu, jest to, czego szukałem. Niech pan będzie łaskaw zrzucić to ubranie z siebie, a włożyć ten garnitur. To jest stosowniejsze. Skromne, spokojne, a bogate — zrobione było dla zagranicznego księcia, hospodara Halifaxu, musi go pan dobrodziej znać. Nie wziął go bo matka jego miała umierać, i chciał żałobę przywdziać. Spodnie pysznie leżą. Wprawdzie nie umarła, ale trudno, nie wszystko zawsze idzie jak sobie życzymy. A teraz kamizelka; doskonale! a tu surdut. Wspaniale! Jakby dla pana łaskawego zrobiono. Jak ulane! Jeszcze w życiu nie widziałem podobnie udatnego garnituru!

Wyraziłem mu moje zadowolenie.

— Tak panie łaskawy, tak. Garnitur tymczasem wystarczy. Ale zaczekaj pan dobrodziej, aż zrobię mu ubranie podług miary. Ted, książka i pióro. Długość 32, itd.

Zanim zdołałem słowo wymówić, zdjął ze mnie miarę, i zapisał obstalunek na ubranie ranne, wieczorne, koszule i różne inne rzeczy. Kiedy mnie nareszcie uwolnił, rzekłem:

— Ależ mój panie, ja nie mogę tego wszystkiego zapłacić, chyba, że zmienisz mi pan pieniądze. Inaczej musiałbyś pan

czekać w nieskończoność na zapłatę.

— W nieskończoność? Panie dobrodzieju, to za słabe wyrażenie! Wieczność całą, gotów jestem czekać. Tod, patrz, aby się z obstalunkiem prędko załatwili, i odeślij wszystko panu w jak najkrótszym czasie. Zaraz adres i…

— Zmieniam teraz mieszkanie, wtrąciłem. Zajdę tu, i nowy mój adres przyniosę.

— Bardzo dobrze, łaskawy panie, bardzo dobrze. Pozwól pan, do drzwi go przeprowadzę. Tak, moje uszanowanie panu dobrodziejowi, moje uszanowanie.

No, i czy domyślacie się, co się stać musiało? Całkiem naturalnie, przywykłem powoli do kupowania, czego mi było potrzeba, żądając, aby mi wydano resztę. Do tygodnia zaopatrzony byłem wspaniale, i mieszkałem w paradnym prywatnym hotelu na Hanover Square. Jadałem też tam obiady, ale na śniadanie chodziłem zawsze do skromnej restauracyjki Harrisa, który mnie był pierwszy nakarmił. I robił on na mnie majątek. Rozniosła się wieść, że milionowy dziwak, który nosi majątek swój w kieszonce od kamizelki, stałym jest gościem Harrisa, i to było wystarczające. Harris tak mi był wdzięcznym, że wprost zmuszał mnie do przyjmowania pożyczek, nie posiadając więc nic własnego, miałem pieniądze na zawołanie i żyłem jak bogacz. Myślałem wprawdzie czasem, że krach musi przyjść, ale teraz, kiedy już byłem porwany prądem, musiałem z nim płynąć, albo utonąć. To nadawało poważmy, tragiczny prawie ton historii, która inaczej byłaby tylko śmieszną, i w nocy, nieraz sen ode mnie odlatywał; ale w dzień, wszystkie cienie znikały i czułem się nad wyraz szczęśliwym.

Było to rzeczą całkiem naturalną. Stałem się nagle sławną osobistością w stolicy, i cokolwiek mi się w głowie przewróciło. Nie można było wsiąść do ręki jakiejkolwiek gazety angielskiej, szkockiej, czy irlandzkiej, żeby nie trafić na artykuł o kamizelkowym milionerze, i o jego słowach

i czynach najświeższych. Z początku znajdowałem się na końcu osobistych wiadomości; powoli jednak awansowałem wyżej szlachty, baronetów, hrabiów itp., aż wyjechałem na najwyższy szczebel i tam już pozostałem, ponad wszystkimi książętami nie królewskiej krwi, z wyjątkiem tylko prymasa Kościoła anglikańskiego. A jednak nie było to jeszcze prawdziwą sławą. Byłem dotąd tylko głośnym. Rozgłos ten dopiero wtedy w wieczną złotą sławę się zmienił, kiedy „Punch“ umieścił w swych kartkach moją karykaturę. Teraz stanowisko moje zostało zapewnione. Żartowano ze mnie nieraz jeszcze, ale już nie złośliwie, a zawsze z należytym uszanowaniem. Ludzie uśmiechali się ale nie śmieli się więcej. „Punch” przedstawił mnie w obszarpanych moich łachmanach, idącego oglądać wieżę londyńską, i zrobił ze mnie „osobę“ w całym znaczeniu tego słowa. Można sobie wyobrazić stan duchowy młodego człowieka, na którego przedtem nigdy nikt nie zwrócił najmniejszej uwagi, a którego teraz wszyscy palcami pokazują, gorączkowo mówiąc:

— Oto on! Oto on idzie!

Nie mogłem zjeść śniadania, żeby mi się tłum gapiów nie przypatrywał. Nie mogłem Pójść na operę, żeby natychmiast tysiąc lornetek się na mnie nie skierowało. Po prostu pływałem w morzu sławy jak dzień był długim.

Łachmany moje zachowałem i ukazywałem się w nich od czasu do czasu; zachodziłem wówczas do jakiego sklepu po pierwszą lepszą drobnostkę, a gdy mnie z góry traktowano, mściłem się ukazaniem milionowego banknotu.

Ale niedługo sport ten trwał. Ilustrowane pisma bowiem tak obznajomiły publiczność z moją podobizną, że wkrótce już nie mogłem wyjść na ulicę, żeby zaraz tłum gapiów dokoła mnie się nie gromadził, a kupcy pomimo mego stroju cały sklep na kredyt mi ofiarowywali, zanim miałem czas banknot z kieszeni wyciągnąć.

Około dziesiątego dnia mojej sławy, poszedłem złożyć

uszanowanie amerykańskiemu ambasadorowi. Przyjął mnie z entuzjazmem, należnym mojej wielkości, robił mi wymówki za tak spóźnione odwiedziny i zapowiedział, że w takim tylko razie uzyskam przebaczenie jeśli zechcę tegoż jeszcze wieczora zostać u niego na obiedzie. Zgodziłem się na to, i w dalszej rozmowie okazało się, że ojcowie nasi znali się i kolegowali na szkolnej ławie, a w przyjaźni trwali aż do śmierci. Prosił mnie więc, abym dom jego za swój uważał, i każdą wolną chwilę w nim przepędzał. I na to, oczywiście, bardzo chętnie przystałem, bo w razie katastrofy będę miał przynajmniej obrońcę.

Za późno już było na zwierzenia, zabrnąłem za głęboko, zresztą zawsze miałem szczęście, wierzyłem więc w moją dobrą gwiazdę, i pewny byłem, że zakład wygram. Przy tem, chociaż miałem długi, ale nie nad możność zapłacenia, bo miałem przecie prawo wybrać miejsce, jakie tylko zechcę u tego bogatego pana, i nie zamierzałem wybrać źle płatnego.

Wyrachowałem więc, że gaża moja nie może wynosić mniej, niż sześćset funtów rocznie, a miałem dotąd tylko sześćset funtów długu. Z łatwością, więc je spłacę.

Obiad bardzo był przyjemny. Było nas czternaście osób: książę i księżna Shoreditch i córka ich, Lady Anne Grace-Eleanor-Celeste itd. de Bohun, Hrabia i hrabina Newgate, Wicehrabia Cheapside, Lord i Lady Blatherskide, kilka osób bez tytułów i ambasador jego żona i córka, i przyjaciółka tej ostatniej. Miss Portia Langham, w której zakochałem się od pierwszego wejrzenia – a ona we mnie – jak widzieć to mogłem nawet bez okularów. Gdy wszyscy byliśmy już zgromadzeni w salonie, zaanonsowano jeszcze jednego gościa:

– Mr Lloyd Hastings.

Przywitawszy się, spostrzegł mnie, i podszedł do mnie z wyciągniętą, ręką, poczem wstrzymał się i rzekł zażenowanym tonem:

— Przepraszam pana, ale zdawało mi się, że znam pana.

— Bo i znasz mnie mój drogi.

— Nie! Wszak pan jesteś..

— Kieszonkowym monstrum?. No tak, nie obawiaj się nazywać mnie tym przydomkiem, jużem dość przywykł.

— No, no, to dopiero niespodzianka! Parę razy widziałem twoje nazwisko w połączeniu z tym przydomkiem, ale nigdy mi nie przyszło na myśl, że to ty jesteś tym Henrykiem Adamsem, o którym tyle mówią. Toż nie ma sześciu miesięcy, jak byłeś płatnym urzędnikiem w Frisco, i siedziałeś nieraz po nocach w biurze, aby mi pomóc w załatwieniu rachunków. I pomyśleć tylko, że jesteś obecnie w Londynie a do tego sławnym milionerem! Bajka z tysiąca i jednej nocy. Wprost w głowie mi się od tego kręci.

— Przyznam ci się, Lloyd, że i mnie także. I ja się jeszcze nie mogę połapać.

— Bo też to i jest odurzające. Trzy miesiące temu siedzieliśmy w restauracji u Minera.

— Prawda, u What Cheera. Poszliśmy tam o drugiej w nocy, i kazaliśmy sobie dać befsztyk i kawę, którą posilaliśmy się po sześciogodzinnej pracy w biurze, a ja cię namawiałem, abyś jechał ze mną do Londynu, i ofiarowałem się wyrobić ci urlop i ponieść wszelkie koszty, a nawet dać ci coś ponadto, jeśli mi się sprzedaż dobrze uda. Ty zaś nie chciałeś, mówiąc, że nic nie sprzedam, a ty stracisz mnóstwo czasu, i będziesz miał furę roboty za powrotem! Jak się to stało, i kto cię tak popchnął szczęśliwie?

— Czysty przypadek. Długa to historia — romans po prostu. Opowiem ci go kiedyś, ale nie teraz.

— Kiedy?

— Przy końcu tego miesiąca.

— To znaczy, za dwa tygodnie. Za długo. Powiedzmy za tydzień.

— Nie mogę. Dowiesz się w swoim czasie dla czego. Ale jakże idą twoje interesy?

— Dobrym byłeś prorokiem, Hal; żałuję, żem tu przyjechał, i nie chcę nawet mówić o tem.

— Przeciwnie, musisz. Pójdziesz do mnie na noc, i opowiesz mi wszystko.

— Na serio to mówisz? — spytał prawie ze łzami w oczach.

— Naturalnie. Chcę dowiedzieć się wszystkiego od a do z.

— Nie masz pojęcia, jak wdzięcznym ci jestem. Żebyś wiedział, co to znaczy, że ktoś się mną interesuje, po tym wszystkim, co tu przeszedłem! Boże, toż na kolanach podziękować ci za to miałbym ochotę.

Uścisnął moją rękę, odzyskał wesołość i paplał aż do obiadu — którego nie było. Tak, stało się tak, jak zwykle w Anglii. Nie mogli rozstrzygnąć kwestii, komu należy się pierwsze miejsce, i z tego powodu nie można było zasiąść do stołu. Anglicy też zawsze w domu jedzą obiad, zanim na obiad proszony pójdą, wiedzą bowiem z doświadczenia, co inaczej ryzykują; ale obcego nikt o niebezpieczeństwie nie ostrzeże, i tak biedaczysko wpada w zasadzkę. Tym razem nikt nie został poszkodowanym, bo z nowicjuszów był tylko jeden Hastings, a temu ambasador, zapraszając go, zapowiedział, że stosując się do angielskich obyczajów, obiadu robić nie kazał. Każdy z nas podał więc rękę jednej z pań, i procesjonalnie udaliśmy się do jadalni, bo tak uczynić wypada. Ale tu rozpoczęła się sprzeczka.

Książę Shoreditch chciał zająć pierwsze miejsce, utrzymując, że wyższą rangę zajmuje aniżeli ambasador, który nie jest przedstawicielem króla, lecz tylko narodu. Na to ja zgodzić się nie mogłem, i zwróciłem uwagę na fakt, że w gazeciarskich

wiadomościach osobistych stoję wyżej od wszystkich książąt nie królewskiej krwi. Wtedy on nieoględnie wyjechał z wysokim urodzeniem, i pochodzeniem z czasów Wilhelma Zdobywcy, ja zaś powiedziałem, że moja rodzina o wiele jest dawniejszą, bo pochodzi w prostej linii od samego Adama, jak wskazuje to moje nazwisko, wobec czego on ze swoim normandzkim przodkiem bardzo świeżej daty wydawać się musi.

Wróciliśmy więc do salonu i podali nam sardynki i truskawki, których jedną sztukę mógł każdy zjeść stojąco. Tu już prawo pierwszeństwa nie tak ściśle jest przestrzegane. Dwie najwyższe rangą osoby wyrzucają szylinga; ten, kto wygra, może pierwszy wsiąść truskawkę, a ten, kto przegra, dostaje szylinga. I tak wszyscy czynią kolejno, aż każdy porcję swą dostanie. Po posiłku, wniesiono stoliki do kart, i zasiedliśmy do gry, po sześć pensów partia. Anglicy nigdy nie grają dla przyjemności. Jeśli nie mogą przy tym wygrać coś lub przegrać, to wolą się nie fatygować.

Bawiliśmy się doskonale; przynajmniej, co się tyczy mnie i panny Langham, to mogę śmiało to powiedzieć. Byłem tak oczarowany, że byłbym wszystkie partye przegrał, gdyby i ona w tym samym stanie się nie znajdowała.

To też oboje nie bardzo wiedzieliśmy, jakie mamy karty. Wiedzieliśmy tylko, żeśmy niezmiernie szczęśliwi. Powiedziałem jej – naprawdę powiedziałem – że ją kocham, a ona – zarumieniła się, aż włosy jej poczerwieniały, i nie rozgniewała się wcale. Wiele razy zapisywałem punkty, dodawałem postscriptum, a gdy ona miała coś do zapisania, odpowiadała na nie. Rachowaliśmy zaś w taki sposób: “Dwa i sekwens – jak pani ślicznie wygląda! – piętnaście i dwa, piętnaście i cztery, piętnaście i sześć, a dwa to osiem – myśli pani? Spoglądała przy tym z pod długich rzęs figlarnie, a tak cudnie! Ach! zachwycający był to wieczór.

Rozpowiedziałem jej wszystko uczciwie i rzetelnie. Przyznałem się, że nie posiadam ani grosza, oprócz owego milionowego

banknotu, a ten do mnie nie należy. To wzbudziło jej ciekawość, i musiałem jej szeptem całą historię od początku wyłuszczyć. Omal nie umarła ze śmiechu. Co u diabła widziała w tym zabawnego, nie wiem doprawdy, ale fakt jest że co parę minut zatrzymywać w opowiadaniu się musiałem, aby dać jej przyjść do siebie.

Po prostu okulała ze śmiechu. Jeszcze niczego podobnego w życiu nie widziałem. To jest, nigdy nie widziałem, aby historia czyichś trosk i cierpień podobny efekt wywołać mogła. Nic dziwnego że jeszcze więcej ją za to pokochałem.

Bo czyż może być coś lepszego na świecie, niż takie pogodne usposobienie? Kto wie, może wkrótce bardzo będę potrzebował żony, która by wszystkie niepowodzenia z komicznej strony brać potrafiła. Powiedziałem jej, że będziemy musieli parę lat poczekać, aż z mojej gaży zaciągnięte długi wypłacę. Poradziła mi, abym się nadal więcej oszczędzał, tak, aby i trzeciego roku nie zaangażować, i wyraziła przy tym pewne powątpiewanie co do owej przypuszczalnej gaży. Może my ją za wysoko taksujemy? To była bardzo rozsądna uwaga, i zmroziła mię cokolwiek, ale naprowadziła jednocześnie na dowcipny pomysł, którym zaraz się z nią podzieliłem.

— Porcjo droga — rzekłem — a gdybyś tak poszła ze mną do tych panów, jak wrócą?

Zawahała się chwilę.

— Może i pójdę. Ale czy to będzie stosowne?

— Obawiam się, że nie bardzo, ale widzisz, tyle na tym spotkaniu zależy.

— W takim razie pójdę, bez względu na stosowność czy niestosowność. Bardzo będę szczęśliwą, jeśli ci w czym pomóc będę mogła.

— Pomóc? ależ naturalnie, że mi pomożesz. Jesteś tak śliczna i

miła i zachwycająca, że choćbym z całego majątku chciał tych starych jegomościów obrać, nie będą mieli siły się oprzeć.

Zarumieniła się, ale oczy jej radośnie zaświeciły.

— Ty brzydki pochlebco! Niema ani słowa prawdy w tym, co mówisz, ale pójdę z tobą, pomimo to. Może cię to przekona, że nie wszyscy patrzą twoimi oczami.

Oczywiście, wszystkie moje wątpliwości znikły, i w myśli podniosłem od razu cyfrę przyszłej gaży do tysiąca dwustu funtów, na rok pierwszy; ale nie powiedziałem jej tego. Zachowałem to na później, aby miała niespodziankę.

Przez całą drogę do domu, Hastings gadał, a ja nie słyszałem ani słowa. Dopiero gdy weszliśmy do mego mieszkania, głośny jego zachwyt obudził mnie z marzeń, i z chmur, wśród których w wyobraźni bujałem, ściągnął mię na ziemię.

— Na Boga, toż to pałac! — zawołał mój przyjaciel — a w nim wszystko, i kolacja przygotowana! Henryku, teraz dopiero zdaję sobie sprawę nie tylko z tego, jakiś ty bogaty, ale i z tego, jak bardzo ja jestem nędzny, pokonany, zniweczony!

Niech że to diabli wezmą, takie głupie gadanie! Aż ciarki po mnie przeszły, i zrozumiałem w tej chwili, że właściwie nie mam prawa nawet do suchego kawałka chleba, a stoję na wulkanie. Pogrążony byłem dotąd we śnie, i ujrzałem, że jestem w długach po uszy, nie posiadając ani grosza, a trzymam w ręku szczęście drogiej, kochanej dziewczyny, szczęście oparte na problematycznej gaży, która może nigdy nie zmaterializuje się. Och, och, och! Jestem doszczętnie zrujnowany! Nic mnie już nie ocali od niedoli!

— Henryku, czy ty wiesz, że jeden ułamek dziennego twego dochodu mógłby…

— Niech diabli wezmą mój dzienny dochód! Ot siadaj lepiej i jedz. Musisz być głodny.

— Nie, jeść już nie mogę od kilku dni, ale pić będę z tobą, aż padnę.

— Niech i tak będzie. Gotów! a teraz odwijaj swoją historię od początku.

— Jak to? Po raz drugi.?

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— No, przecież ci wszystko opowiedziałem po drodze.

— Ty?

— Tak, ja.

— Niech mnie powieszą, jeśli choć słowo słyszałem.

— Henryku, to rzecz serio. Co ci tam zadali u ambasadora?

— Dali mi najpiękniejszą dziewczynę w świecie w niewolę.

Przyskoczył do mnie i trzęśliśmy się za ręce, aż nas zbolały. I nie miał mi już za złe, że nie słyszałem ani słowa z jego opowieści, tylko z cierpliwością anielską powtórzył mi ją od początku. Rzecz, w skróceniu, tak się miała: Przyjechał do Anglii z projektem sprzedania nadzwyczajnego interesu. Powinien był zarobić na tym półtora miliona. Pracował ciężko, próbował wszystkich sposobów, stukał do wszystkich drzwi, ale nie znalazł ani jednego kapitalisty, który by chciał mu dać posłuch i był zupełnie zrujnowany.

— Henryku! — zawołał, skończywszy — ty możesz mię uratować! Ty jeden uczynić to możesz. Czy zrobisz to dla mnie?

— Powiedz mi, jakim sposobem?

— Daj mi milion na interes i tyle, abym do domu mógł wrócić. Nie odmawiaj, na miły Bóg, nie odmawiaj!

Śmiertelne poty na mnie wystąpiły i już, już miałem na końcu

języka: “przyjacielu, jam taki sam biedny, jak i ty, nie mam nic, prócz długów”, ale nagle błysnęła mi myśl genialna i rzekłem chłodno, jak pierwszy lepszy bogacz:

– Dobrze, wyratuję cię, Lloyd.

– W takim razie, już jestem uratowany! Bóg ci zapłać Henryku i…

– Daj mi skończyć najpierw. Wyratuję cię, ale nie w ten sposób, który po wszystkich niepowodzeniach przez jakie przeszedłeś, byłby dla ciebie niekorzystnym. Ja nie mam zamiaru kupować kopalni; mogę moim kapitałem o wiele lepiej obracać w takiem centrum przemysłowym, jakim jest Londyn. Ale interes, o który ci idzie, znam doskonale i wiem że jest dobry. Mogę na to przysiąc, jeśli kto sobie życzyć tego będzie. Otóż możesz posługiwać się moim nazwiskiem, ile tylko chcesz, a ręczę, że do trzech tygodni wyprzedasz akcji co najmniej na trzy miliony. Zyskiem zaś podzielimy się.

Czy wiecie, że omal wszystkich mebli na drzazgi nie połamał, tak tańczył i rzucał się w niepohamowanej swej radości. Musiałem go złapać wpół i przemocą na fotelu posadzić.

– Więc mogę użyć twego nazwiska, wołał. Twego nazwiska! Czy ty wiesz, co to znaczy? Człowieku, toż oni będą lecieć, jak muchy do miodu, ci bogaci Londonerzy. Bić się będą o akcye! Majątek mój już zrobiony i tobie to zawdzięczam. Nie zapomnę ci też tego do końca życia!

Do dwudziestu czterech godzin Londyn był jak w gorączce. Nie miałem nic innego do roboty, jak tylko siedzieć w domu i wszystkim odwiedzającym mnie odpowiadać:

– Tak, pozwoliłem mu powołać się na mnie. Znam interes i znam człowieka. Charakter ten godzien jest najwyższego zaufania, kopalnia zaś warta o wiele więcej, aniżeli za nią żąda.

Wieczory tymczasem spędzałem codziennie u ambasadora z moją

ukochaną. O kopalni nie mówiłem jej ani słowa, aby móc jej potem zrobić niespodziankę. Mówiliśmy tylko o przyszłej gaży i o miłości. Nigdy o czym innym. Czasem tylko o gaży, czasem tylko o miłości, a czasem o jednej i drugiej razem. A co do ambasadorowej i córki jej, to czego one nie wymyślały, aby nam dopomóc i sam na sam zapewnić! Idealnie dobre okazały się obie.

Kiedy miesiąc dobiegł swego kresu, miałem milion dolarów własnych w londyńskim banku, a Hastings drugie tyle. Ślicznie ubrany i wyświeżony, pojechałem na Portland place, i przekonawszy się, że moje ptaszki powróciły, udałem się do ambasadora, zabrałem moją panią i wyruszyłem z nią na ową audiencję, przez całą drogę dyskutując o przyrzeczonym miejscu i przywiązanej doń gaży. Była ona w stanie podniecenia, który czynił ją możliwie i nienormalnie piękną. Powiedziałem jej więc:

— Wiesz, kochanie, że ty tak wyglądasz, iż po prostu zbrodnią by było, gdybyśmy żądali mniej niż tysiąc funtów rocznie.

— Henryku, Henryku, ty nas zgubisz!

— Nic się nie bój. Wyglądaj tylko dalej tak, jak w tej chwili, a resztę mnie zostaw. Będzie wszystko dobrze.

— Ale pamiętaj, że jeśli zażądamy za wiele, to możemy nic nie dostać. A co się wówczas z nami stanie? I tak zarobimy na chleb powszedni?

Tak więc okazało się, że nie ona mnie, tylko ja ją uspokajać i odwagę jej podtrzymywać musiałem.

Ten sam lokaj, co wówczas wprowadził nas do pokoju, w którym obaj bracia się znajdowali; zdawali się być zdziwieni obecnością mojej pięknej towarzyszki, ale zaraz im sytuację wytłumaczyłem:

— To nic, panowie, to tylko moja przyszła żona.

I przedstawiłem im ją. Prosili nas więc siadać i bardzo uprzejmie starali się ją ośmielić. Po chwili odezwałem się znów:

– Panowie, gotów jestem raport złożyć.

– Bardzo nas to cieszy – odparł mój jegomość – bo będziemy mogli rozstrzygnąć który z nas zakład wygrał. Jeśli ja, to będziesz pan miał najlepsze miejsce, jakiem tylko rozporządzam. Masz pan milionowy banknot?

– Oto jest panie. – I wręczyłem mu go.

– A więc wygrałem! – zawołał. – I cóż ty na to, Abel?

– A no, nie mogę inaczej powiedzieć jak tylko, że on żyje, a ja przegrałem dwadzieścia tysięcy funtów. Ale nigdy nie byłbym w możliwość tego uwierzył.

– Raport mój jeszcze nie skończony – rzekłem – a jest on dość długi. Jeśli panowie pozwolą, to przyjdę któregoś dnia i szczegółowo opowiem historię ubiegłego miesiąca. Tymczasem zaś, proszę spojrzeć na to.

– Co? Świadectwo depozytowe na 200 000 funtów? Czy to pańskie?

– Moje. Jest to zarobek, zapracowany przeze mnie w ciągu ostatnich trzydziestu dni, przy pomocy tej drobnej pożyczki, jaką miałem od panów. A jedyny użytek, jaki z niej robiłem, tylko kupowanie drobiazgów i żądanie, aby mi reszty zdano.

– Czy to może być? Człowieku, toż to absolutnie nieprawdopodobne!

– Mniejsza z tym; mam dowody.

Kolej zdziwienia przyszła teraz na Porcję. Szeroko oczy otworzyła i spytała:

– Henryku, czy to naprawdę twoje pieniądze?

— Kłamałem, kochanie, ale wiem, że mi przebaczysz.

— Nie bądź no tak pewnym tego. Bardzo to nie ładnie z twej strony, żeś mnie tak oszukał.

— Mam nadzieję, że przebolejesz to, moja najdroższa; to był tylko żart niewinny; ale chodźmy już.

— Czekaj no pan, a owo miejsce? — wtrącił starszy jegomość. — Przecież obiecałem panu miejsce.

— Widzi pan — odparłem — bardzo panu wdzięczny jestem, ale okoliczności tak się złożyły, że nie potrzebuję już miejsca.

— Ależ może pan przecie wybrać najlepsze, jakiem tylko rozporządzam!

— Serdecznie dziękuję, z głębi serca dziękuję, ale i tego nie potrzebuję.

— Henryku, odezwała się moja narzeczona, coś ty bardzo chłodno wdzięczność swą okazujesz. Czy mogę cię w tym wyręczyć?

— Ależ naturalnie moja droga. Próbuj, czy lepiej to ode mnie potrafisz.

Na to, Porcja podeszła do mego staruszka, usiadła mu na kolanach, objęła go za szyję i ucałowała w oba policzki. Obaj panowie wybuchnęli śmiechem, a ja osłupiałem. Mogę śmiało powiedzieć że skamieniałem po prostu.

— Papo, Henryk mówi, że nie potrzebuje żadnego miejsca w twoim domu, i ja ogromnie czuję się tym dotknięta.

— Ja kto, moja droga, to ma być ojciec twój? — spytałem zdumiony.

— A jakże. Właściwie ojczym, ale taki dobry, że i rodzony ojciec lepszym być nie może. Może teraz rozumiesz, dla czego tak się śmiałam, kiedy, nie wiedząc o moich stosunkach rodzinnych, opowiadałeś mi u ambasadora, jakich trosk i

kłopotów zakład papy z wujem Ablem cię nabawił?

Wobec tego przystąpiłem do rzeczy prosto z mostu.

– Mój najdroższy panie – zawołałem – odwołuję to wszystko, com powiedział. Jest miejsce, którym mnie pan obdarzyć możesz.

– I jakież to?

– Miejsce zięcia.

– No, no! Widzisz pan, jeszcze pan nigdy w tym charakterze nie służył, nie możesz więc mi dać rękojmi, że kompetentnym się okażesz. A to przecież był warunek naszej umowy.

– Więc weź mnie pan na próbę. Tak na jakich trzydzieści do czterdziestu lat, a wówczas, jeśli…

– No niechaj i tak będzie. Żądanie nie wielkie i dość rozsądne; bierz więc ją sobie.

Szczęśliwi my, co? Niema nawet słów na świecie, aby to należycie opisać. A gdy Londyn w parę dni potem dowiedział się o moich przygodach z tym banknotem, miał że on też uciechę nie lada i temat do rozmowy niewyczerpany! Oj że miał, to miał!

Ojciec mojej Porcji zaniósł poczciwy ów banknot do banku i wymienił go na brzęczącą monetę, bank zaś skasował go i darował mu go na pamiątkę, a on ofiarował nam go w dniu naszego ślubu i od tej chwili za szkłem oprawiony wisi na najpierwszym miejscu w naszym domu. Jemu bo zawdzięczam moją Porcję. Gdyby nie on, nie mógłbym był pozostać w Londynie, nie byłbym na obiedzie u ambasadora i nigdy bym jej nie był poznał. To też, gdy mnie kto o niego pyta, zawsze odpowiadam:

– Tak, to milionowy banknot, jak pan widzisz, ale jedną tylko rzecz zakupił w całym swym życiu, a i to dziesięć razy poniżej wartości owego przedmiotu.

Autorstwo: Mark Twain

Tłumacz anonimowy
Źródło: pl.WikiSource.org
Licencja: CC0